

Fragment utworu w przekładzie

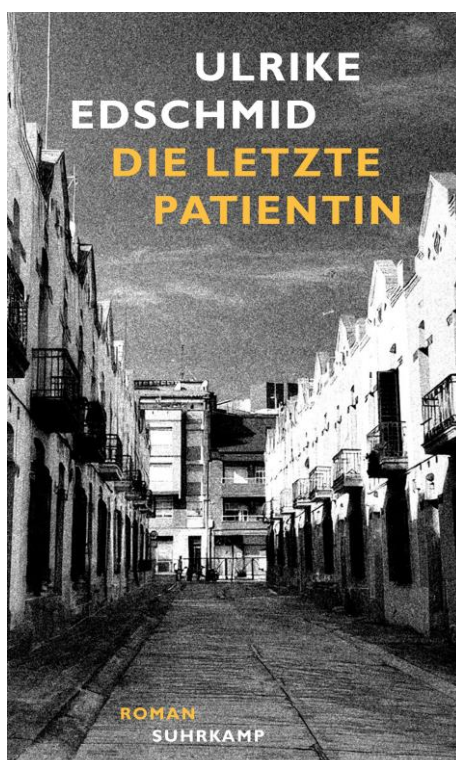
Ulrike Edschmid
Die letzte Patientin

Suhrkamp Verlag, Berlin 2024
ISBN 978-3-518-43183-2

Str. 1-6, 18-20, 24-27, 37-38, 45, 50-52

Ulrike Edschmid
Ostatnia pacjentka

Przekład: Zofia Sucharska



1.

Dzwoni po taksówkę, nie po karetkę. Nad Parkiem Güell kierowca skręca w cichą uliczkę, która o północy jest zamykana z obu stron. Bramy są jeszcze otwarte, samochód zatrzymuje się przed wąskim szeregowcem. Nie zabrała ze sobą bagażu. Wyjeżdża, jak gdyby miała wrócić. Na tylnym siedzeniu dosiada się do niej młoda kobieta. Kierowca wybiera drogę ekspresową i zatrzymuje się przed kliniką w Ensanche, gdzie przed ponad trzydziestoma laty zaczęło się jej życie w Barcelonie. Jeszcze latem kroplówki dawały jej siłę do pokonania pieszko długiej drogi do domu. Teraz jest zima, nowotwór pod obojczykiem sięga jej aż do serca.

Późnym wieczorem słyszę jej powitanie na sekretarce i zostawiam wiadomości, których już nie odsłucha. Kiedy rano wybieram nieznany hiszpański numer, który zapisałam kiedyś na marginesie w notatniku, odzywa się szpital i zostaję połączona z salą, w której leży umierająca.

Pomieszczenie wypełniają szmery, przytłumione głosy. Mówi bardzo cicho. Niemal szeptem. Z pięciu języków, którymi włada, umierając nie powraca do języka dzieciństwa. W ostatnich chwilach mówi po francusku, co, jak często przyznawała, zawsze sprawiało jej największą trudność.

Miała nadzieję, że podobnie jak w ostatnich latach raz jeszcze będzie mogła zabrać się ze mną na nieurodzajną wyspę na Atlantyku. Ciche pragnienie życia ogarnęło ją, gdy siedziała w cieniu na tarasie, zatopiona w lekturze książek o badaniach mózgu. Czytała je, tak jak normalnie czytała powieści – z przejęciem i bez podnoszenia wzroku, podczas gdy wszystko wokół zdawało się tonąć. Kiedy wspominam te godziny, dni i tygodnie, wydaje mi się, że także i wtedy jej myśli krążyły wyłącznie wokół młodej kobiety, która została przy niej do końca i była jej ostatnią pacjentką.

2.

Gdy w 1973 roku we Frankfurcie nadeszła zima – zapamiętałam ją jako wyjątkowo mroźną – wprowadziła się do wspólnego mieszkania, w którym wówczas żyłam z dzieckiem. Szukała dachu nad głową po tym, jak zostawił ją mąż. Opuściła Luksemburg, bo nie mogła znieść kraju, w którym się urodziła, życia i poglądów swoich rodziców. Kiedy przyjeżdżali w odwiedziny, przywozili ze sobą ciasto z myślą wyłącznie o swojej córce, której było za to wstyd. Nie rozumieli, jak żyjemy i że dzielimy ze sobą wszystko.

Jedynie, co przypominało o jej kraju pochodzenia i domu rodzinnym, była jej unosząca się i opadająca melodia mowy oraz luksemburska książka kucharska. Kiedy siedziała z papierosem, kawą i „Le Monde” przy kuchennym stole, otaczała ją aura bezwstydного przesytu życiem, jak w filmach Nouvelle Vague. Jednak krył się za tym brak wytchnienia i jednocześnie niewzruszona wytrwałość.

Gdy którejs nocy do naszego mieszkania wpada policja, stoi w dziecięcej flanelowej koszuli nocnej w kwiaty przed uzbrojonymi funkcjonariuszami, bez soczewek widząc jedynie ich ciemne zarysy. Niczym matka, którą nigdy nie miała zostać, staje z rozłożonymi ramionami w drzwiach dziecięcego pokoju, w którym śpi mój syn i zakazuje im wstępu z taką stanowczością, że policjanci w końcu się wycofują.

3.

Niewykluczone, że trzy lata naszego pełnego zmian, ale i zaufania wspólnego życia były jednym z niewielu okresów, w których czuła się akceptowana i bezpieczna. Bez trudu kończy studia historyczne i romanistyczne i zakochuje się w hiszpańskim anarchiście, który po dojściu do władzy generała Franco uciekł ze swojego kraju; zna tylko jego pseudonim.

Po śmierci dyktatora pod koniec 1975 roku mężczyzna wraca do Hiszpanii. Dziewczyna podąża za nim w sylwestrową noc swoim małym renault. Ze wzrokiem jak zawsze ledwo ponad kierownicą pokonuje na raz tysiąc kilometrów prawie do samej hiszpańskiej granicy. Kiedy w okolicach Narbonne silnik R4 zaczyna się krztusić i gaśnie na parkingu przy autostradzie, przyjeżdża po nią ukradziony gdzieś ogórek bez papierów.

Kierowca czeka do północy. Potem kablem rozruchowym uruchamia silnik, korbką opuszcza szybę i życząc celnikom *Feliz Navidad*, bez przeszkód przejeżdża przez granicę. Zawozi ją aż do Barcelony. Tam w środku miasta wysadza ją pod mieszkaniem w Ensanche,

owej dzielnicy wytyczonej jak od linijki, z podwórkami i ogródkami o kwadratowych blokach zabudowy, których ukośne rogi tworzą placyki.

4.

Związek z hiszpańskim anarchistą, którego wciąż nazywa pseudonimem, rozpada się, jak wszystkie kolejne, w których miała być później. On wrócił do domu, ona wyjechała na obczyznę. Podczas gdy on uczestniczy w odbudowie Hiszpanii jako kraju demokratycznego, ona żyje z dawania lekcji języka, będąc w nieustającej tułaczce.

To uczucie towarzyszy jej nieustannie; próbuje podzielić się nim z byłym *tupamaro*, wojownikiem partyzantki z Urugwaju, który przez rządy junty wojskowej uciekł ze swojego kraju. Przez całą zimę jeździ do niego w weekendy do małego białego domku nad morzem i grzeje nieustannie zimne dłonie przy piecu opalanym drewnem. Latem jednak, jak pisze, okazuje się, że poza poniewierką nie łączy ich nic.

Z Miguelem z Kraju Basków po raz pierwszy snuje marzenie o układzie: ojciec, matka, dziecko. Związek rozpada się, bo on ma już ich dwójkę i nie chce trzeciego. Po aborcji ogarnia ją utrzymujący się tygodniami stan zmęczenia, który wydaje się jej końcem życia. Kiedy on związuje się z dwudziestolatką, ona buntuje się przeciwko wszystkiemu, co nazywa swoim przeznaczeniem. Nie odchodzi jednak, bo, jak pisze, to nigdy się na nic nie zdało; miota się niczym uwięzione zwierzę, które ani w klatce, ani na wolności nie czeka nic poza cierpieniem. W liście zastanawia się, ile razy jeszcze będzie musiała przeżyć tę pierwotną scenę swojego życia, którą zna na wskroś, nieustannie od nowa, zanim uda się jej całkowicie od niej uwolnić.

5.

W barze z tapasami zakochuje się w Xavierze, który stoi za ladą i wydaje się jej, że mężczyzna będzie w stanie dać jej wszystko, za czym tęskni. Jednak, jak pisze, im więcej doświadczają z jego strony miłości i troski, tym większy czuje strach przed byciem we dwoje. Zna życie w pojedynkę, ale bycie we dwoje to dla niej nieznane terytorium. Pisze, że wpadła w straszną panikę, jak gdyby w ciepłym i bezpiecznym miejscu nagle potrzebowała zimnego powietrza; jak gdyby niedołączyła bez pustki wypełniającej ją pełnym tęsknoty pragnieniem. Między nią a mężczyznami rozgrywa się rozpaczliwa walka, którą bezlitośnie bierze pod lupę.

Jakkolwiek nie wyobrażała sobie miłości, poszukiwania jej podczas niekończących się podróży po obcych krajach i kontynentach okazały się bezskuteczne. Przez blisko czterdzieści

lat trwania naszej przyjaźni dzięki listom wciąż mogłam jej towarzyszyć, kiedy samolotem, autokarem i autostopem nieustannie zmierzała prosto ku kolejnej miłosnej katastrofie.

Z Niemiec wyjechała dla hiszpańskiego anarchisty. Kiedy przez wszystkie te nieudane romanse określane przez nią mianem związków Barcelona zaczyna ją męczyć, postanawia podwoić liczbę udzielanych lekcji, żeby zgromadzić kwotę, która umożliwi jej wyjazd. Wstaje o szóstej rano, jeszcze w porannej mgle jeździ w okolice Montseny i uczy francuskiego szefów fabryki samochodów. Popołudniami udziela lekcji w fabryce chemicznej albo w Instytucie Goethego. Wieczorami przesiaduje sama na późnych seansach w kinie. Kiedy ma wreszcie wystarczająco dużo pieniędzy, pakuje rzeczy i wyrusza w drogę; mówi, że skoro brakuje jej miłości, to przynajmniej nie zabraknie jej ruchu. Ma trzydzieści lat.

6.

Jej pierwszy list przychodzi z Bisbee w Arizonie. „Gdybyś była tutaj”, pisze 10 czerwca 1980 roku, „poradziłabyś mi jak najszybciej stąd zniknąć”. Nie wiem, jak wylądowała akurat pod meksykańską granicą w tej opuszczonej miejscinie z kopalniami miedzi. Jednak wszystkie listy, które będzie do mnie pisać na przestrzeni lat, sprawiają wrażenie, jak gdyby w sercu nigdy nie opuściła Bisbee.

Mały drewniany domek, sto dwadzieścia stopni położonych wysoko na skalnej kazalnicy. Z ostatniego stopnia po odwróceniu się widok na wąwóz, przez który biegnie Main Street. Kawiarnia, stacja benzynowa, bar, supermarket Mother Earth i *public library*. Za oknem kuchennym pustynna nieskończoność Sonory. Mężczyzna z Południa, który nosi w sobie obietnicę spokoju i bezpieczeństwa do końca życia.

Jednak, jak pisze, taki sam rodzaj spokoju i bezpieczeństwa zapewnia on także potrzebującym dzieciom z pogranicza, którymi się opiekuje. Po raz pierwszy w życiu ogarnęła ją pokusa wyobrażenia sobie życia u boku mężczyzny. To, co chciała dać, było tym, czego sama wymagała. Pisze, że w świecie mężczyzny, który przywykł do samotności, to za wiele. Jej gorliwość przekracza jego granice, podaje go w wątpliwość, przytłacza, dziwi i wyprowadza z równowagi. Mężczyzna odwraca się od niej i milknie.

Rana po odrzuceniu nie chce się goić. Czuje się ukarana za swoje pożądanie. To, co miało być wyruszeniem przed siebie, zamienia się w podróż do jej najgłębszych sprzeczności, które cały czas wyraźnie ma przed oczami. Pisze, że jest z tych, którzy zapalają się dopiero wtedy, kiedy nie ma już nic do uratowania. Nieustannie była tylko odurzona zakochaniem.

Otrzeźwienie i upadek, które następują później, pogrążają ją w poczuciu jeszcze gorszego porzucenia niż jakakolwiek doświadczona przemoc czy śmiertelne niebezpieczeństwo w trakcie długiej podróży.

(...)

18.

W sierpniu 1982 roku znów pisze listy z Barcelony. Znajduje schronienie u przyjaciół. Komórka bez okien, za mało światła, za mało przestrzeni, za mało snu. Wyznaje, że jest jak popękany grunt, na którym ma się rozpocząć budowa. Materiału nie brakuje, ale jak połączyć go ze sobą, żeby coś z niego powstało, nie wiadomo. W barze spotyka dawnego kochanka, o którym nie może zapomnieć. Pod rękę z piękną młodą kobietą. Zostaje z poczuciem ogólnej życiowej porażki, ciągłej, niepowstrzymanej utraty i samotności bez wyjścia awaryjnego. Myśl, że przez całe życie będzie uczyć języka, staje się koszmarem. Planuje napisać doktorat o kobietach w Ameryce Południowej.

Jak pisze, od wizyty w domu urugwajskiego działacza organizacji podziemnej nie może przestać myśleć o dwóch kobietach. O matce w żałobie, która milknie i zaczyna gasnąć. I o córce, która usiłując przetrwać, walczy ze wszystkim – tradycją bycia matką i żoną, jak również z rolą siostry zbiegłego bohatera miejskiej partyzantki. Po raz pierwszy w jej percepcji centralne miejsce zajmują kobiety, podczas gdy w trakcie całej podróży byli to wyłącznie mężczyźni, którzy okupowali przestrzeń publiczną, miejsca tęsknoty i pożądania.

Pisze, że przez całą zimę ciągnie ją do pięknej, starej biblioteki uniwersyteckiej; że czyta w ciszy i skupieniu, cieszą ją zapach książek i światy, które się przed nią otwierają. Jednak wraz z nadejściem wiosny uświadamia sobie, że nie jest to żadna perspektywa, tylko droga ucieczki, mozolna praca pozbawiona mocy zmieniającej życie.

19.

Wraca do udzielania lekcji. Jak pisze, swoją porażkę próbuje maskować drobnymi ucieczkami – a to do Francji, a to do Włoch. Nie jest jednak w stanie długo się okłamywać. Z Holendrem, w którym, jak sądzi, jest zakochana, podróżuje po Grecji. Po sprzeczce na szosie

prowadzącej do Kalamaty jej uczucie na kilka sekund zamienia się w tak potężną wściekłość, że gdyby w ostatniej chwili nie doszła do siebie, rzuciłaby w niego ciężkim kamieniem.

Wraca sama autostopem do Aten, gdzie wsiada w *Magic Bus*; po trzech dniach i trzech nocach dociera do Londynu. Tam poznaje Niemca, który we Frankfurcie przez pomyłkę trafił do więzienia, a po wyjściu na wolność wyjechał do Anglii. Wydaje się jedynym, który nie pozostawił w jej życiu żadnej skazy. Ale też żadnych wspomnień czy obrazów, które, jak pisze, mogłyby uczynić go widocznym. Nigdy bowiem nie miała czasu ani ochoty ani nie wykazała choćby cienia gotowości do głębszego poznania jakiegokolwiek mężczyzny.

Pisze, że podczas swojej ostatniej wielkiej podróży przez mongolską pustynię jakby aktem woli próbowała zdystansować się od poczucia braku, oskarżenia i niezadowolenia z życia. Ogarniał ją coraz większy strach, że własny gniew wpędzi ją w chorobę. Nie chciała już cierpieć z powodu tego, czego nie ma. To podróż, której nie towarzyszy tęsknota za miłością i w trakcie której tylko raz mimochodem wspomina o tym, że zauważyła jakiegoś mężczyznę. Wydarzyło się to, jak pisze, w dniu wylotu, kiedy wczesnym rankiem wyszła w koszuli nocnej na balkon hotelu w Ułan Bator i ktoś naprzeciwko po przekątnej dziedzińca do niej pomachał. Niedowidząc, odmachwała mu i dopiero kiedy założyła okulary, rozpoznała Dalajlamę w czerwonej szacie, który, wciąż uśmiechnięty, pozdrawiał ją z drugiej strony dziedzińca.

20.

Po powrocie do pozbawionej okien komórki w Barcelonie wyczuwa w piersi guzek, twardy i zimny. Operacja potwierdza jej obawy. To, że na materacu, bez światła dziennego i świeżego powietrza, między manią wielkości a depresją otworzyły jej się oczy, mogło, jak pisze, wynikać z intensywnej lektury właśnie opublikowanej książki amerykańskiej analityczki o zaburzeniach narcystycznych, źródłach utraty samej siebie.

Miała wrażenie, że rozpoznała samą siebie w dramacie, jaki rozgrywał się między nią a jej matką i że trzymała na uwięzi całe swoje dotychczasowe życie. Podejmowane próby ucieczki nie zdały się na nic. Zniosła zagrożenia i wykazała się samozaparciem. Nie była jednak w stanie, jak pisała, uwolnić się od pretensji i wymagań zgorzkniałej, niezadowolonej kobiety, która, choć oddalona o dziesiątki tysięcy kilometrów, czekała na nią w nowym budownictwie z widokiem na szosę, wzdłuż której ciągnęły się uschnięte, nagie jabłonie. Nie była córką, jakiej życzyłaby sobie jej matka i nigdy nie miała nią zostać. Nie potrafiła zatrzymać przy sobie

mężczyzny, miała nie mieć dzieci ani rodziny, nie miała zawodu. Była niczym innym jak tylko rozczarowaniem.

Jej lekarz, jak pisze, reprezentuje popularny pogląd, że do pojawienia się raka przyczyniają się wcześniejsze wydarzenia, przez które ciało latami wydzielalo za dużo adrenaliny. Jednak nie prowadzi się w tym zakresie badań, bo nie przynoszą one pieniędzy. Powiedział: *la bolsa no sona*. Ujęłaby to inaczej, bez ukazywania związku przyczynowo-skutkowego. Czuła jednak, że rak, który w niej hula, ma podłoże psychiczne.

Pisze, że jest człowiekiem, który potrzebuje nauki, by stawić czoła własnym demonom, po czym – widząc w tym ostatnią szansę – rzuca się w wir studiów psychologicznych, które gotów jest opłacić jej ojciec. Po raz pierwszy wprowadza się do własnego mieszkania. Nie w Ensanche, ale przy uliczce w Poble Sec, gdzie kolejka linowa nad pomostami w porcie i jej mieszkaniem unosi się ku Montjuïc.

(...)

24.

Nie wiem, czy pamiętasz, mówi, że już od dawna współpracuję z międzynarodową organizacją pomocową, ośrodkiem na północy Hiszpanii. Przyjmują młode dziewczyny z Niemiec, które zagubiły się w narkotykowym półświatku albo rodzinnych katastrofach. Pacjentki, która dziesięć lat temu przyszła do mojego gabinetu, dotyczyły obie te kwestie. Brała narkotyki, w wieku czternastu lat uciekła z domu do opieki społecznej i szukała pomocy. Rodzice rozwiedzeni. Z matką zero kontaktu. Ojciec biznesmen w firmie za granicą. Miała szesnaście lat. Ciężka trauma, stwierdziła kierowniczka ośrodka, przepełniają ją w środku obrazy okropieństw. Jak gdyby jej złorzecząc, rodzice nadali jej imię z dramatu. To imię postaci, której nikt nie wierzy. Moja pacjentka jednak nie wierzyła nawet sama sobie. Będę ją nazywać N., mówi, N. jak Nikt.

N. pojawiała się raz w tygodniu, w poniedziałki, zawsze o tej samej porze; przyjeżdżała pociągiem, jechała ponad sto kilometrów w jedną stronę i z powrotem. W jej gabinecie siadała na krześle i milczała. Mówi, że sama wówczas czekała, opowiadała coś i znów czekała. Początkowo próbowała zbliżyć się do milczącej pacjentki, zadając niebezpośrednie pytania i okazując cierpliwość. Pisała, że to praca wymagająca niezwykłego wyczucia i że należy ograniczać wkładaną w nią energię. Siedziała tak, nic nie chcąc, ale w najwyższym skupieniu. To, co pojedyncze i niepozorne, zamknięcie oczu czy przeniesienie uwagi na okno, odbierała

jako wyraz mowy ciała, nie przywiązując jednak do niego zbyt dużego znaczenia ani nie wyciągając przedwczesnych wniosków.

25.

Mówiła, że w pierwszych dwóch latach chodziło jej o tylko o to, by pacjentka odeszła od narkotyków i wzmocniła poczucie własnej wartości. Jednak jej milczenie okazało się zgubne; nie było spokojne, tylko zatwardziałe i nieubłagane. Pomiedzy nią a jej pacjentką pojawiła się nieprzenikniona ściana. Po każdej wizycie czuła śmiertelne zmęczenie. Jej ciało w bezruchu zaczęło ją boleć, najpierw w jednym, potem w innym miejscu. Musiała użyć wszystkich sił, by się rozluźnić i zachować spokój. Czasami od tego milczenia była bliska utraty rozumu.

Przyznała, że zastosowała wszystko, co wiedziała i potrafiła. Jednak przy każdym kroku, który stawiała lub nie, poruszała się pełna wątpliwości po kruchym gruncie. Miała wrażenie, że mówi do siebie i jednocześnie coraz wyraźniej czuła, że za milczeniem N. kryje się coś okropnego.

W końcu siedząc w cieniu milczącej siły, jaka biła od siedzącej naprzeciw pacjentki, sama walczyła o przetrwanie. Nowotwór został zoperowany, ale pojawiły się przerzuty. Regularne kroplówki zapewniały jej krótkie przebliski życiowej energii, która pomagała wytrzymać tydzień w pracy i wygasła w weekendy. Kiedy któregoś razu wizyta nie doszła do skutku, była wręcz szczęśliwa. Jednak N. przyszła ponownie i milczała dalej.

26.

Wówczas nie zdawała sobie z tego sprawy i dopiero po latach dowiedziała się, że jej pacjentka nieustannie marzyła o tym, by choć raz móc z nią porozmawiać, nawet jeśli tylko przez chwilę. Gdyby jednak zaczęła mówić – co wyznała szeptem – zabiłoby ją. Były to krótkie, poszarpane strzępy zdań wyrzucone obcym, wysokim i monotonicznie bezdźwięcznym głosem; nie miała nawet pewności, czy dobrze je zrozumiała.

Pomyślała, że to, czego N. nie może wyrazić słowami, powie jej ciało. Jej pacjentka jednak wpadała w panikę już w chwili, kiedy po prostu miała się położyć. Jakikolwiek dotyk, nawet najbardziej delikatny, wywoływał w niej potworny lęk. Nie dało się z nią rozmawiać ani pracować z jej ciałem, N. nie potrafiła rozmawiać ani dotknąć własnego ciała. Pytania pozostawały bez odpowiedzi. W słownej przestrzeni nie ruszało się nic, zupełnie nic.

Przyznała, że była to najstraszniejsza terapia w jej życiu, w trakcie której nieustannie osiągała swój limit. Już wyłącznie się zastanawiała, jak pozbyć się swojej pacjentki. Gdybym nie była taka, jaka jestem, mówi, i nie miała matki, która też tylko milczała, poddałabym się. Ale wytrzymała, pełna nienawiści i gniewu. Pracowała dalej ze względu na młodą pacjentkę z ciężką traumą, która jako dziewczyna uciekła z domu i milczała już od trzech lat.

27.

Twierdzi, że zdarzenie samo w sobie nie jest traumą. Definicja traumy zależy od tego, jak coś jest przeżywane; samo wspomnienie jeszcze nie wpędza w chorobę. Większość ludzi potrafi znieść lub wyprzeć nieszczęścia. Jednak w przypadku tych, którzy nie są w stanie tego robić, wystarczy jakakolwiek okazja, by zdarzenie z przeszłości dopadło ich z całą mocą. Teraz, o tej porze, jak gdyby poza nieustającymi okropnościami nie istniało zupełnie nic. Mówi, że w przypadku traumy jej przyczyn nie da się kontrolować, zejść im z drogi. One przypominają miny, które mogą wybuchnąć przy najlżejszym dotyku.

Traumatyczne wydarzenia są, jak mówi, przeżywane w ciele. Nieuwolnione, bo zabrakło refleksji na temat ich historyczności, tkwią w ciele na wieki jako rozjątrzone rany. To obrażenia, które na zawsze pozostają terażniejszością, ale nie mogą być nazwane. Uzdrawienie dokonuje się dopiero wtedy, kiedy następuje podział na to, co było wcześniej i co jest teraz i odnajdują się słowa na cierpienie. Kiedy udaje się przeżycia umiejscowić w pamięci, by w ten sposób zawierzyć się przeszłości. Zdarza się, jak mówi, że ludzie nigdy nie wykonują tej pracy i latami balansują nad przepaścią. Borykają się z wyuczonymi strategiami przeżycia, ale nigdy nie udaje im się uwolnić od strachu.

Jak mówi, miejsce w mózgu, w którym rodzi się strach, ma kształt migdała. U człowieka, który zagłuszył swoje urazy, ciosy od losu, miejsce to jest powiększone. Człowiek nie jest już swoją własnością. Mają go w garści demony. Wszystko dzieje się teraz i nigdy nie kończy. Trauma zawsze ma związek z bezradnością biorącą się z wczesnego dzieciństwa. Jest jak jest i tak już będzie zawsze. Dla człowieka z traumą, jak twierdzi, nie ma pocieszenia.

(...)

37.

Jej pacjentka, siedząc naprzeciwko w milczeniu przez wszystkie te lata, potrzebowała jej do przeżycia. Słowa pojawiły się na samym końcu. Teraz chodziło o to, by znaleźć drogę na zewnątrz. N. wprowadziła się do niewielkiego mieszkania na starówce w Poble Sec i chciała podjąć studia. Bez matury musiała przystąpić do egzaminu wstępnego, rozpoczęła zajęcia przygotowawcze na uniwersytecie. Miała dwadzieścia pięć lat.

Ojciec pojawiał się co roku w jej urodziny. Jako kochający ojciec przywoził jej prezenty i ją wspierał, jako wysłannik z zaświatów wyrządzał jej krzywdę. Kiedy przychodziła potem na terapię, zdarzało się, że przestawała widzieć i nie wiedziała dlaczego. Któregoś razu cała zeszytniała i nie wiedziała dlaczego. Nie mogła się już uczyć do egzaminu i nie wiedziała dlaczego, nie mogła chodzić – i nie wiedziała dlaczego.

Pisała, że N. jak sparaliżowana potykała się o własne nogi, a ona, z ramionami obolałymi od kroplówek i nakłuć, ledwo co dała radę pomóc jej dostać się do pokoju na pierwszym piętrze, gdzie dziewczyna mogła się położyć i już rozległ się dźwięk dzwonka, na terapię przyszedł kolejny pacjent. Jednak w środku nocy N. nagle ogarnęła panika. Dziewczyna bała się, że ojciec może ją tu znaleźć, dziecięcym głosikiem szeptała: „... ja w końcu jestem grzeczna, jestem grzeczna...” – a to, jak pisała, było najgorsze ze wszystkiego, co przeżyła z nią dotychczas.

38.

Mówi, że to, co zrobił jej ojciec, osiadło w świecie okropności i stopniowo wydobywało na powierzchnię. Latem dziewiątego roku terapii jej pacjentka zaczęła unikać ojca i wymykać się spod jego zasięgu. Zaczęła rozumieć nie tylko to, co wydarzyło się w przeszłości, ale w dalszym ciągu działo się do dziś. Teraz robiła to, czego wcześniej nie mogła: znikać, kiedy przychodził. W niektóre noce ukrywała się w zaroślach w parku u stóp Montjuïc.

Jak mówi, któregoś razu, gdy nadeszła już noc, poszła tam poszukać swojej pacjentki; to było okropne. Barca wygrała mecz, park zappełnił się wrzeszczącymi fanami futbolu. N. była cała rozbita, przestała jeść, prawie nic nie piła, jej ubrania pachniały zgnilizną. „Chcę do mamy, chcę do mamy”, szeptała, kiedy wyczołgała się z krzaków. Bałam się, że N. umrze, mówi, że zginie, bo ludzie w obliczu śmierci często wołają swoją matkę.

Jednak również kiedy poszła na zajęcia, nagle na uczelni pojawił się jej ojciec. Nie namierzył jedynie małego szeregowca na północy miasta, w uliczce z bramami na obu jej końcach, które były zamykane na noc. Groził jej i nakazał być posłuszną; straszył, że jeśli się mu nie podda, zrobi coś jej przyjaciółce i młodszej siostrze, dwóm osobom, które kochała.

Kiedy ludzie z traumą kochają, mówi, nie ma wyboru: jeśli coś dzieje się ich ukochanej osobie, dzieje się to także im samym. Kiedy ukochani ludzie umierają, oznacza to także śmierć ich samych. Dla ojca, który spędził dzieciństwo w sierocińcu, N. miała być wszystkim: matką, córką i żoną.

(...)

45.

Ogłuszona nieprzerwanym bębnieniem deszczu o dach werandy mówi, że mało brakowało, a nie usłyszałyby dźwięku dzwonka. Myśli, że to sąsiadka, którą chciała zaprosić na obiad. Wstaje i idzie do małego korytarza. Przez ryflowane szklane drzwi widzi rozmyty zarys postaci. Kiedy otwiera, widzi wychłostaną przez burzę i wiatr pacjentkę, włosy posklejane w kosmyki. Szeptem, tłumionym przez szum deszczu, N. mówi coś, czego nigdy jeszcze nie powiedziała i co nigdy już nie przejdzie jej przez usta: „Proszę, przytul mnie!”, a następnie: „Dziękuję!”, kiedy, przemoczona do suchej nitki, pada w jej objęciach.

Wbiega na górę po schodach, zabiera ręczniki, rozkłada je dookoła swojej pacjentki, wyciera jej głowę, ściąga jej ze stóp przemoknięte buty, unosi nogi do góry. Kiedy chce jej pomóc zdjąć mokre ubrania, N. odskakuje. Rozkłada jej więc kanapę do spania i kładzie obok jedną ze swoich flanelowych koszul nocnych, zdecydowanie zbyt krótkich dla tak wysokiej, szczupłej, młodej kobiety, które sama wciąż nosi, niczym niespełnione pragnienie dziecięcego poczucia bezpieczeństwa.

Robi jej gorącą herbatę i coś do jedzenia. Obok kanapy stawia lampkę i kiedy zagląda do niej później, N., po zjedzeniu i wypiciu wszystkiego, śpi w jej koszuli nocnej. Jak przyznaje, był to najszczęśliwszy moment w jej życiu.

(...)

50.

Tutaj kończy się taśma z nagraniami mojej przyjaciółki. Pod koniec lata wraca z Berlina do Barcelony. To początek długiego pożegnania. Koniec z listami, tylko te codzienne rozmowy zamiejscowe, które nie powstrzymają śmierci i które coraz trudniej zakończyć. Walczy tak, jak zwykła walczyć. Nie o miłość. Walczy o życie, które jeszcze jej zostało. Jednak nowotwór pali ziemię.

Wspomnienia jej matki wydobyły się z otchłani, gniewne, na wpół sterowane, na wpół spontaniczne. Matka jako zły duch, który siedzi na nowotworze i zabije ją, jej córkę. Wiedziała, że musi nawiązać z nią rozmowę, wewnętrzny dialog, by uwolnić się od demona i strachu. Przecież wciąż jesteś moją matką, miała powiedzieć do niej w swojej wizji, co ty wyprawiasz? Następnie wyobraziła sobie odpowiedź, po czym miały przez tydzień prowadzić wirtualną kłótnię. Wszystko działo się tylko w jej głowie, w milczeniu, bez wydawania dźwięków. Kiedy zaś matka ustępowała, czego w rzeczywistości nigdy nie robiła, także i ona była w stanie ustąpić. Tak zaczęły w jej wyobraźni się do siebie zbliżać. Wprawdzie demon matki wciąż tkwił na nowotworze, ale doszły do porozumienia, że zawrą pokój. Jak mówi, nie pomogła jej żyć, ale pomoże jej umrzeć.

51.

Ostatni rok życia spędza w poczuciu bezpieczeństwa, jakiego nie знаła. Nie jest to miłość, o którą zawsze walczyła i która jednocześnie ją dusiła. Doświadcza bliskości i troski, która nie wiąże się z żądaniami ani natarczywością. N. robi zakupy, gotuje, sprząta i naprawia rzeczy. Naoliwia zawiasy w drzwiach, by nie budząc swojej terapeutki, która teraz stała się jej pacjentką, móc otworzyć drzwi i do niej zajrzeć. Włącza ogrzewanie w korytarzu, kiedy robi się zimno, myje okna w całym domu i gra na flecie. Czasem są to jej własne, proste melodie, a czasem klasyczny utwór, który rozbrzmiewa z tarasu na dachu aż na sam dół, do przeszklonej werandy, gdzie rozpoznaje go umierająca.

N. porusza się z taką pewnością i oczywistością po piętrach niewysokiego szeregowca, jak gdyby mieszkała tu od zawsze. To miejsce, w którym doszła do siebie i do którego uciekła w największej potrzebie. Tu czuje się bezpiecznie, tu chciała być. I tu ma już zostać na zawsze.

Jej terapeutka miała nadzieję, że wytrzyma jeszcze do początku nowego roku, aż do dnia, w którym chciała zmienić swój testament. Chciała, żeby po jej śmierci dom przeszedł w posiadanie N., a nie organizacji pomocowej, jak pierwotnie planowała. Jednak dwa dni przed Bożym Narodzeniem w biurze notariusza nikt już nie odbiera telefonu. A potem jest już za późno.

52.

Umiera o czwartej po południu. Na wyspie na Atlantyku słońce wędruje już na zachód nad rozciągniętym cyplem. Czerwone, żółte i niebieskie lotnie opadają z krawędzi stromego klifu i bezdźwięcznie unoszą się nad wodą. Idę drogą, którą szłabym z nią o tej porze. Na wschód, zakurzoną ścieżką, tuż nad opadającym stromo klifem, mijając stada kóz, które wyrrywają z wyschniętej ziemi kłujące chwasty. W dół do wypełnionego żwirem wąwozu, gdzie niewielkimi falami wpływa morze. Znów w górę na płaskowyż i dalej, aż do wysoko wystającego stożka, gdzie na szczycie wiodą stromo zygzakowate linie. W espadrylach na koturnie zdarzyło się jej niebezpiecznie poślizgnąć na żwirze, ale nigdy nie upadła. Prowadziła ją ledwo zauważalna ostrożność – i zawsze szła na obcasach, w których wyglądała na wyższą, niż była w rzeczywistości.